

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

11

Twarz jego przybrała wyraz wielkiej powagi, gdy usiłował tłómaczyć im:

— Wam się zdaje, że to nic zatrzymanie wodotrysku. Czy wy wiecie, jakie skutki wywołać może zatrzymanie wodotrysku! Potop sprowadzicie na świat! Potop! Wam się głupcom zdaje, że rzeki wzbierają podczas wielkich deszczów! Starajcie się do licha zrozumieć! Ziemia cała od wewnątrz całkiem jest przesiąknięta wodą i wystarczy czasem, aby jedna kropla dodana wywołała potop! Przed chwilą Paryż zabezpieczony był przed powodzią, ale ten wodotrysk wstrzymany spowodzi katastrofę! Woda, która odpływała do Sekwany, wpadnie w giłąb ziemi i przepełni podziemne rzeki i jeziora! Oh! oh! już widzę! widzę, jak Sekwana wznosi się, burzy, pieni!

Lecz dozorczy, którym zaciekle wyrwać się zaczął, przy pomocy ogrodnika skrępowali mu silnie ręce w tył.

— He! ty! słuchaj! — zawołał jeden grubiańsko. — Sprzykrzyło ci się już za kaftanem i tu szem! Idź do dyrektora — zwrócił się do ogrodnika — i powiedz, niech przyśle ludzi do pomocy.

Prawie natychmiast ukazał się doktor Rastewicz. Zirytowany był widocznie. Nadbiegli dozorczy i chory z trudnością został odprowadzony do zakładu.

Doktor Rastewicz rozkazał założyć mu kaftan bezpieczeństwa i udał się szybko do swojego gabinetu. Wyeksperymentował prędko chłopaka, który się tam kręcił z jakimś listem i pozostawszy sam, bez niepotrzebnych świadków, zadzwonił niecierpliwie do telefonu, prosząc o komunikację z Paryżem.

— Czy pan wie, doktorze — zaczął, jak tylko mu oddzwoniono — że ten człowiek staje się niemożliwym! Atak następuje po ataku!

— Więc co z tego — odpowiedział mu spokojny głos. — To chyba jest zupełnie naturalne!

— Bardzo dobrze! Łatwo to panu tak mówić, ale dla mnie staje się nie do wytrzymania!

— Więc co z tego — powtórzył głos ironicznie. — Czy odpowiada pan za jego wyzdrowienie? Czy nie poczynił pan wszelkich możliwych starań?

— Ale ja mam tego już dosyć!

— Ciszej, proszę!

— Nikogo tu niema, a zresztą ktoby nas zrozumiał! Wątpię, aby kto z urzędników telefonicznych rozumiał język rosyjski. Zapewniam pana, że człowiek ten staje się niebezpiecznym! — mówił dalej Rastewicz zirytowanym głosem. Trzeba koniecznie wyjaśnić sytuację!

— Spokojnie, mój panie! Spokojnie!

— Oczekuję na pana.

— Co to znaczy? Czy nie otrzymał pan z góry zapłaty za jego umieszczenie?

— To mi nie wystarcza! Gdyby tak przypadkiem zajrzał tu inspektor policyjny, ładniebym wyglądał! Szczególnie w razie jego śmierci! Nie mam wcale ochoty ryzykować mojej sytuacji.

— Zdaje mi się, że tracisz pamięć, mój kochany panie!

— Możliwe! Ale zdaję sobie jasno sprawę z obe-

cnego położenia. Wpakował mi pan na kark brzydka historię, obiecując wziąć odpowiedzialność na siebie! A teraz zostawia mi pan wszystko! Bardzo dziękuję! Muszę z tem skończyć! Proszę więc pana, przybądź tu koniecznie i to bezwzględnie!

Jeżeli doktor Rastewicz ośmielał się w ten sposób przemawiać do swojego własnego kolegi, to jedynie dla tej przyczyny, że dzieliła ich znaczna odległość. Ale gdy w kilka godzin później oznajmiono mu przybycie doktora Mateusza Gewolskiego, biegł skwapliwie na jego spotkanie na równi ze swoją służbą. Bo pomimo chwilowego rozdrażnienia, umiał ocenić zaszczyt, jaki go spotkał.

— Mateusz Gewolski bardzo rzadko odwiedzał zakład swego kolegi, mówiąc, że nikt nie jest w stanie tak skrupulatnie leczyć tych nieszczęśliwych szaleńców, jak on właśnie. Gewolski zaś przybywał tu jedynie w roli amatora, którego powierzchownie zajmuje przedmiot dość ciekawy do badania. I teraz udał wobec służby, iż odwiedzin te są dziełem przypadku. Znajdował się w okolicy blizkiej zakładu i nie mógł przejechać koło bramy ogrodowej, aby nie wstąpić i nie uścisnąć ręki kolegi.

— O, nie puszczę pana stąd tak prędko — upewniał uradowany Rastewicz. — Muszę panu przedstawić wszystkich swoich pacjentów.

Gewolski nie sprzeciwiał się jego żądaniu i dał się wszędzie oprowadzić. I podczas tych oględzin zwracał się do Rastewicza, jak do równego sobie, chwalać porządki i stan chorych.

Przechodzili właśnie koło drzwi, z za których wydobywały się stłumione krzyki i jęki.

— Co, atak jeszcze nie przeszedł? — zapytał doktor Rastewicz dozorcę.

— Przechodzi pomału, panie dyrektorze — odpowiedział zapytany.

— Kto to jest? — zapytał obojętnie Gewolski.

— To ten biedak, chorujący na wielkiego malarza — odpowiedział równie obojętnie doktor Rastewicz.

— Nie dochodzi pan z nim do żadnych rezultatów?

— Dotąd jeszcze do żadnych.

— Wyobrażał sobie dzisiaj, że nastąpi potop świata z powodu zatrzymanego wodotrysku — objaśnił dozorca.

— Nowa mania — zauważył Gewolski, uśmiechając się lekko.

A jednak musiał zapanować całą siłą woli, by nie zdradzić wzruszenia na wzmiankę o wodotrysku.

I zupełnie już spokojny w chwilę później, gdy w gabinecie Rastewicza podano herbatę na sposób rosyjski z konfiturami i kawiozem, rzucił uwagę:

— Zupełnie tak, jak w Moskwie, pamiętasz doktorze?

Na rozkaz Rastewicza służba natychmiast się oddaliła, a gdy koledzy pozostali sami, przy drzwiach na klucz zamkniętych, Gewolski zapytał z niezadowolaniem.

— Co to za nowa bajka z tym wodotryskiem?

— Chciał udusić ogrodnika, który zajęty był przy zatrzymaniu wody. Zatelefonowałem wtedy po pana.

— Zupełnie niepotrzebnie — mruknął Gewolski.

— A to dobrze! A gdyby tak nieborak wyciągnął kopyta! — zawołał brutalnie Rastewicz.

— Jeszcze czas na niego! Tracisz przytomność umysłu, doktorze.

Rastewicz schylił głowę i nienawistnym spojrzeniem objął Gewolskiego.

— Nie mam wcale ochoty dla pana przyjemności

niszczyć sobie karyery. Powtarzam: gdyby tak na-
dejscie nieoczekiwane inspektora policyi.

— Przestań pan! Byli już tutaj i zdaje mi się, że zakład pana nic na tem nie ucierpiał.

— Tak, do czasu. Nie czytał pan chyba w dziennikach sprawy tego aptekarza, którego rodzina zamknęła w domu zdrowia? Prasa dosyć krzyku narobiła! A przecież stało się to na żądanie rodziny i za świadectwem legalnem doktora. A ja co? Czy mam takie zabezpieczenie? Zakład mój doskonale się rozwija, mam się potknąć na takiej przeszkodzie?

— Ah! ah! Zakład się rozwija i interesa pana są pomyślne! — rzekł ironicznie Gewolski, przenikając ostrem spojrzeniem kolegę. — Ale może zechce pan sobie przypomnieć komu to pan zawdzięcza, co?

— No tak, zapewne, zapewne — szepnął Rastewicz nagle spokojniaki.

— Kto pana wkręcił do tego zakładu?

— No, przecież...

— Kto się postarał, że panu dostarczono pouważnych sum, jako zadatek na fikcyjnie uleczenie jakiegoś niepotrzebnie żyjącego stryja, po którym rodzina dziedziczyć pragnęła? lub ojca, który nie chciał dobrowolnie rozstać się z tym światem?

— Gdyby choć panu osobiście zależało coś na tym idyocie, którym się opiekujesz — mruknął Rastewicz — Ale nieznajomy! Chyba, że pan mi prawdy nie powiedział?

— Wiem o nim, tyle co i pan. Ale na szczęście wiem dosyć o tobie, mój szanowny kolego. Wiem, że byłeś naprzykład zmuszony opuścić swojego czasu Rosję, gdzie pobyt twój dalszy okazał się niemożliwy, i że ja ci dopomogłem do ustalenia się we Francji. Czy nie tak?

— Nie zapomniałem o tem, zacny kolego — szepnął pokornie Rastewicz.

— Bardzo szczęśliwie — odparł znacząco Gewolski. — Dobre rachunki utrzymują przyjaźń, powiada przysłowie. Przypominam sobie wiele jeszcze innych rzeczy, ale sądzę, że na razie wystarczy to jedno przypomnienie. Powiedz mi więc, co znaczy to niezażalenie i nie narzekaj, kiedy ci dobrze.

— Ja nie narzekam, ale chcę być zabezpieczonym w razie wypadku. W moim zakładzie nie powinien się znajdować ani jeden nielegalnie wprowadzony pacjent. A pan mi jednej nocy przywozi ze swoim służącym z laboratorium, uśpionego jakiegoś człowieka i za wszelką cenę chce pan, abym cię od niego uwolnił. Czy namyślałem się chociaż chwilę?

— Wiedziałem, że namyślać się nie będiesz, panie Rastewicz.

— Dozorców moich jestem pewny i robię z nimi, co chcę. Ale ani mój sekretarz, ani buchalter nie wiedzą dotąd, że wpisanie chorego nie zostało sformalizowane. Na szczęście ten człowiek jest pełnym waryatem. Ale co zrobimy, jak umrze? na jakie nazwisko zostanie sporządzony akt zejścia? Obiecał mi pan dostarczyć jakich papierów!

— Czekam na ich nadejście! Ale wkońcu jeżeli panu tego już za dużo — zawołał wyzywająco Gewolski — możesz się pozbyć bardzo łatwo tego pacjenta, który nielegalnie znajduje się w pańskim zakładzie! Wyrzuć go!

— Żeby go znaleźli gdzieś w polu, albo na drodze, niedaleko zakładu?

— A cóż to szkodzi — mówił dalej ironicznie Gewolski — co to szkodzi jak go znajdą i dojdą, choćby przez służbę tutejszą, skąd wyszedł?

— I dowiedzą się, że pan go do mnie przyprowadziłeś?



Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.